



Reportaże o ludziach i miejscach, które wydają nam się, że znamy

TOMEK MICHNIEWICZ

ŚWIAT RÓWNO- LEGLY



**TOMEK
MICHNIEWICZ**
ŚWIAT RÓWNOLEGŁY



OTWARTE
Kraków 2015

Indie, Zimbabwe

CO TO BYŁA ZA PODRÓŻ! Każdy o takiej marzy. Wsiąść w samolot z biletem w jedną stronę, uciec od wszystkiego, dać się porwać jakiemuś dzikiemu szaleństwu, pędowi, byle dalej i dalej. Zabrać dziewczynę i ruszyć w świat, nie oglądając się za siebie.

Reilly Travers miał wtedy dwadzieścia trzy lata, choć wyglądał na starszego. Na twarzy widać już było pierwsze zmarszczki. To skóra dawała świadectwo życia w afrykańskim buszu. Reilly od dziecka wychowywał się na farmie w Zimbabwie, w miejscu jak z pocztówki, biegając wśród lwów, żyraf i nosorożców. Jak wiele innych białych rodzin na wschodzie kraju Traversowie mieli spore uprawy kukurydzy, pszenicy i tytoniu.

Jego własne królestwo leżało jednak po przeciwnej stronie wąskiej asfaltowej drogi. Rezerwat dzikiej przyrody Imire. Ich własny afrykański pejzaż jak okiem sięgnąć. Akacje, płowe trawy sawanny, kolczasty busz, a wśród nich pyliste przecinki, od dziecka ścieżki zabaw Reilly'ego. W rezerwacie Imire otaczało go tysiąc pięćset zwierząt. Wychował się w rodzinie, dla której nie było nic ważniejszego od tych zwierząt.

A teraz pierwszy raz w życiu wyjechał tak daleko. Wsiadł właśnie z samolotu w Bombaju, trzymając za rękę swoją dziewczynę Candice, miłą brunetkę o niesłabnącym nawet na chwilę uśmiechu. Oboje



wyglądali jak z innej planety. Zwłaszcza Reilly ze swoją rudą czupryną, w krótkich buszowych spodniach i kapeluszu. Mieli tylko niewielkie tobołki, zabrali to, co było pod ręką. Nie przygotowywali się jakoś szczególnie. Dlaczego Indie? Bo ktoś im powiedział, że to piękny kraj. Niech będzie. Gdy wychodzili z terminalu, Reilly nie wiedział nawet, w jakiej części świata się znajduje. Geografia nigdy nie była jego mocną stroną.

Przeplacili za taksówkę, znaleźli tani hotel, zjedli obiad w ulicznej garkuchni, ostrość wykręciła im języki na drugą stronę. Przeżywali te same przygody co każdy przyjeżdżający tu po raz pierwszy. Chłonęli indyjski tumult na wszystkie możliwe sposoby. Feeria barw i dźwięków, kropki na czole, bębny i kolorowe kobiece sari. Historia jakich wiele.

Rozłożyli mapę, zaczęli ją studiować pierwszy raz od czasu przylotu. Wielki kraj, tyle do odkrycia. Postanowili ruszyć na północ.

Jechali przez pół Indii w kierunku Himalajów, bo Reilly nigdy nie widział tak wysokich gór i chciał się przekonać, jakie robią wrażenie. Wprawdzie miał przy sobie tylko lekkie, letnie ciuchy, ale nie



myślał o tym. Jakoś sobie poradzą. Coś nie mieli głowy, żeby się zastanawiać przed podjęciem decyzji, jakoś łatwiej im było po prostu żadnych myśli do siebie nie dopuszczać. Jechać przed siebie, co ma być, to będzie.

W Manali kupili pięćdziesięcioletni motocykl Royal Enfield, który ledwo trzymał się kupy. Postanowili przejechać nim kawał Himalajów w poprzek. Nie wiedzieli nawet, co to za droga, czy to wysoko, czy nisko, czy to w ogóle możliwe. Zwyczajnie ruszyli przed siebie, czasem pchając, a czasem ciągnąc maszynę, gdy nie dawała rady. Dni mijały, jedli, co się dało, spali, gdzie popadło. Tropik ustąpił miejsca chładowi, a gdy droga zaczęła się piąć ostro w górę, pojawił się nawet śnieg. Szczękali zębami, powoli orientując się, jak fatalny popełnili błąd.

Uratował ich cud. Za którymś z kolei zakrętem znaleźli zakopany, opuszczony samochód, a w nim dwa puchowe kombinezony, jakby szyte dla nich na miarę. Zabrali je, nie zastanawiając się długo. Gdy później o tym opowiadali, nikt im nie wierzył. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę, mówili. Nawet zdjęciom nikt nie dawał wiary.

Gdy przejechali kawał Himalajów i krajobraz zaczął im się nudzić, Reilly przypomniał sobie, że jakiś jego daleki kuzyn pracuje w dżungli w Madhya Pradesh, w ośrodku ochrony tygrysów. Zmienili więc kurs i tysiąc kilometrów dalej, dwa tygodnie później zapukali do jego drzwi. Zostali tam na dłużej, a Reilly nawet zatrudnił się w ośrodku. Miał w końcu doświadczenie w pracy z dzikimi zwierzętami, choć w dżungli był pierwszy raz w życiu. Chodził po lesie deszczowym z szeroko otwartymi z wrażenia oczami. Przywiózł z tego okresu zeszyt wypełniony zapiskami przeróżnych przygód, o których można napisać książkę.

Trzy miesiące później postanowili znów zmienić okolicę. Usłyszeli o Andamanach, archipelagu wysp na Oceanie Indyjskim, na którym do dziś żyją plemiona niemające styczności z zachodnią cywilizacją. Reilly od razu poczuł, że to miejsce dla niego. Koniecznie chciał do nich dotrzeć, zobaczyć, nawiązać kontakt. Raz jeszcze obudziła się w nim dusza eksploratora z afrykańskiego buszu.

Dojechali najdalej na wchód, jak to było możliwe, i w Kalkucie zaczęli się zastanawiać, co dalej. Mieli do wyboru dwie opcje. Lecieć samolotem za czterysta dolarów od osoby lub płynąć cztery dni łodzią za dolarów sześćdziesiąt.

JAK SIĘ OKAZAŁO, „łódź” to było słowo bardzo na wyrost. Oto wsiedali na łajbę, którą w całości trzymała jedynie farba. Gdy pojawili się na nabrzeżu kilka godzin wcześniej, ujrzeli ludzką ciżbę, której nie dało się ogarnąć rozumem. Chyba z tysiąc ludzi krzyczało, machało rękami, sprzedawało krakersy i pastę do zębów, przepychało się, wierciło i spało na tobołach. Candice tylko spojrzała na Reilly’ego wymownie, a w tym spojrzeniu była długa litania wyrzutów, którą każdy mężczyzna zna na pamięć. Teraz i tak już nie mieli wyboru. Jakoś to będzie.

Na łódź wsiedli niemal ostatni, bo gdy tylko zrzuciono trap, ludzka kłębisność ruszyła na pokład w sposób wykluczający jakąkolwiek próbę

zdobycia dogodnej pozycji startowej. Hindusi pchali się, jakby się paliło, toboły ciskano przez burtę, dzieciaki wspinały się po relingach i na bosaka rwaly do wnętrza. Ktoś wpadł do wody, ktoś krzychał wniebogłosy przygnieciony przez tłum.

Wtedy nawet Reilly poczuł, że mogli przeholować.

Gdy udało im się wcisnąć do środka, nie został nawet skrawek wolnej przestrzeni. Wszystkie prycze i siedzenia były zajęte, mimo że teoretycznie każdy miał miejscówkę. Na ziemi ludzie leżeli na gazetach i walizkach, pod ścianami piętrzyły się bagaże. Jeszcze nie wypłynęli, a już nie było czym oddychać. Gorąco, duszno, śmierdziało smarem, potem i brudnymi nogami, z zapchanego kibla zalatywało szczyną i wymiocinami. Przejście przez wspólną kajutę oznaczało deptanie po tych, którzy leżeli na ziemi. Szczury biegały po pokładzie już za dnia, więc mogli sobie wyobrazić, co będzie się działo nocą.

Wynegocjowali dostęp do jednej z należnych im prycz groźbą, krzykiem i błaganiem. Siedzieli na niej na zmianę, gdy drugie stało lub polegiwało pod ścianą na podłodze. Pod sufitem wisiał niesprawny wiatrak, kręcący się o wiele za wolno, żeby choć ruszyć zatęchłe powietrze. Candice siedziała skulona w niemym przerażeniu, próbując odciąć się od wszechobecnego hałasu. Na sygnał do odpłynięcia czekali ponad cztery godziny.

Gdy łódź w końcu ruszyła, przysła ostatnia nadzieja na to, że będzie przewiew. Powietrze ciężkie od potu nadal stało nieruchomo i co jakiś czas Candice dopadało uczucie, że się udusi. Mieli przed sobą cztery dni rejsu w tych warunkach.

Wieczorem oznajmiono, że kuchnia wyda posiłek. Całodzienne wyżywienie kosztowało sto pięćdziesiąt rupii, siedem złotych. Reilly zostawił Candice na wywalczonym przez nich miejscu i sam poszedł po dwie porcje. Ustawił się w kolejce. Wszyscy krzyczeli i machali rękami, poganiając kucharza w najbrudniejszym fartuchu świata, który chochlą ładował z wielkich garów jakąś potrawkę z soczewicy. Gdy

po godzinie dotarł do stołu, bezwolnie dając się wyprzedzić każdemu, kto wepchnął się bez pytania do kolejki, zobaczył, że po śmierdzących brudną ściera, ustawionych w stos talerzach biegają karaluchy. Nie uciekły nawet, gdy zaczął jeść. Ten widok ruszył nawet jego, choć żyjąc w afrykańskim buszu, raczej nawykł do niedogodności i niewygód wszelkiego typu, z wyjątkiem ścisku jak na tej łodzi.

PO WYSŁUCHANIU RELACJI REILLY'EGO Candice odmówiła jedzenia. Przez cztery dni żywiła się tylko krakersami i piła ciepłą wodę z butelki, a nawet od tego zbierało jej się na wymioty. Myła się nasącza-nymi chusteczkami i nie chciała z Reilly'em w ogóle rozmawiać. Gdyby byli małżeństwem, ta podróż niechybnie skończyłaby się rozwodem.

Przy życiu trzymała ich tylko wizja celu. Gdy wysiadali na brzegu w Port Blair na Andamanach, marzyli tylko o jednym. Nie chcieli już odkrywać zaginionych ludów i cywilizacji, a wykąpać się i zalec na plaży, próbując zapomnieć o ostatnich czterech dniach.

PLAŻA RADHANAGAR BYŁA ZAMKNIĘTA. Odgradzała ją rozwinięta taśma i tabliczki: „Zakaz wstępu. Uwaga! Krokodyl-ludojad”.

Reilly dostał piany. Nie po to się telepał tą zasraną łajbą, resztkami sił starając się nie wybuchnąć. Nie po to tu przyplłynął, mając nadzieję odzyskać spokój i wreszcie o niczym już nie myśleć, żeby teraz nie móc się nawet wykąpać w tropikalnym morzu, które widział pierwszy raz w życiu. I to jeszcze z jakiego powodu? Przez najbardziej absurdalny zakaz, jaki widziano. Nie ma mowy. Nie można tego tak zostawić.

Popytał po okolicy i dowiedział się, że faktycznie kilka dni wcześniej krokodyl słonowodny zaatakował kobietę ze skutkiem śmiertelnym. Sytuacja nie jest zresztą nieznana na Andamanach, powtarza się cyklicznie i wtedy zawsze zamykają plażę, a otwierają, jak otworzą.

– Niech mi dadzą paru ludzi, to ja tego krokodyla złapię.

Reilly uczesał się, ogolił i ubrał najlepiej, jak był w stanie, po czym pewnym krokiem wmaszerował do siedziby urzędu leśnictwa, gdzie znalazł funkcjonariusza władnego przywrócić mu dostęp do plaży. Przedstawił się zgodnie z prawdą jako właściciel rezerwatu dzikiej przyrody z Zimbabwe, doświadczony w chwytaniu krokodyli, zajmujący się tym od lat zarówno w Imire, jak i poza jego terenem. Brzmiało to poważnie, bo nie dodał, że to „poza terenem” to rodzinne wycieczki kajakami po Zambezi, najbardziej wypełnionej krokodylami rzece świata, i polowanie na gady przy użyciu kuszy, które uprawiał z kolegami od dziecka. Mama zawsze go przestrzegała, że to się kiedyś źle skończy, ale nic takiego na razie nie nastąpiło pomimo odhaczanych w kalendarzu kolejnych biwaków z krokodylim mięsem. Czy miał doświadczenie? Niewątpliwie tak. Czy był nadal nieopierzonym dwudziestotrzylatkiem? Co do tego również nie mogło być wątpliwości.

Pucołowaty, niski naczelnik wysłuchał propozycji, po czym wstał zza biurka, ujął Reilly’ego za oba ramiona i serdecznie przytulił, potrząsając swoją łysiejącą, farbowaną na czarno głową. Ratunek w tej dramatycznej sytuacji spadł mu z nieba.

Naczelnik czym prędzej zorganizował ekspedycję na plażę. Reilly’ego oprowadzała cała świta lokalnych urzędników, w tym panie w białych bluzkach i w eleganckich butach na obcasie, które z trudem brodziły w piasku, starając się przy tym zachować profesjonalną powagę. Naczelnik wskazał miejsce, gdzie doszło do ataku, i obrazowo opisał ubytek na ciele Bogu ducha winnej obywatelki. Zastępca opowiedział o historii wyspy i zaprosił na uroczysty obiad. Reilly z poważną miną potakiwał, odpowiadał na pytania, ferował wyroki i wykladał o zwyczajach krokodyli oraz najlepszych metodach schwytania gada.

Podczas kolacji naczelnik wznosił toast za „pana profesora Traversa”, od siebie dokładając tytuł naukowy i nazwę nieistniejącego Uniwersytetu Zimbabweńskiego. Może mu się pomieszało, może nie

do końca się rozumieli przez silne afrykańskie i andamańskie akcenty. Dość, że w ciągu jednego dnia Reilly zdobył profesurę i wszyscy zaczęli go tak tytułować, zanim zdążył zaprotestować.

Później natomiast na oponowanie przeszła mu ochota, bo wraz z profesurą przyszły benefity i przywileje. Dostali za darmo pokój w najlepszym hotelu w miasteczku, byli wożeni prywatnym samochodem i zapraszani na wystawne obiady. Miła odmiana po czterech dniach na łodzi i kilkumiesięcznym wycieraniu się po dziurawych drogach północnych Indii. Wreszcie byli wyspani i najedzeni, wyszorowani do czysta, wysmarowani balsamem i olejkami, i wreszcie choć na chwilę zwolnili to szaleńcze tempo ucieczki, byle dalej. Profesor Travers opowiadał więc o badaniach krokodyli nad Zambezi i zwyczajach łownych, udzielał wywiadu do lokalnej gazety i pozował do zdjęć.

NADSZEDŁ W KOŃCU CZAS DZIAŁANIA i trzeba było zabrać się do roboty. Poprosił naczelnika o sześciu doświadczonych ludzi i przez pół dnia wspólnie opracowali najlepszą strategię ataku na gadzinę. Obejrzelni nagranie wideo z podwodnego aparatu jedyne go świadka zajścia, pana Ajita Singha. Co zrozumiałe, było roztrzęsione i mało profesjonalne, ale gdy aparat wypadł właścicielowi z rąk i opadał bezwładnie w morską toń, uwieczniony został portret napastnika. Kobiętę zaatakował niemal czterometrowy krokodyl słonowodny, który musiał przepłynąć przynajmniej dziewięć kilometrów, żeby dostać się do zatoki Radhanagar, bo tyle dzieliło go od najbliższych lasów namorzynowych, siedliska krokodyli tego gatunku. Poszukiwania prowadzone z łodzi i przez nurków wykazały obecność tylko jednego krokodyla, który krążył po okolicznych wodach.

Reilly zawyrokował, że krokodyla trzeba skusić przynętą i złapać do klatki. Nakazał zbudować cztery spore bambusowe klatki z zapadnią,

na wzór tych, których używał, polując w buszu na zające. Osobiście nadzorował budowę urządzeń i wybór koziego mięsa na przynętę, a potem rozlokowanie klatek w wodzie na pływających bojach.

Pozostało tylko czekać.

MINĘŁO KILKA DNI i metoda nie przyniosła rezultatu, a raczej przyniosła rezultat nie dość zadowalający. Z jednej klatki mięso zniknęło w całości, co mogło oznaczać, że krokodyl znalazł patent z zapadnią i poruszał się nad wyraz ostrożnie, a w pozostałych klatkach mięsa ubywało po trosze, z korzyścią dla rybostanu. I właśnie wtedy, gdy Reilly stał na plaży i drapiąc się po głowie, myślał, w jaki sposób wyplącze się teraz z tego wszystkiego, zobaczył łysiejącego naczelnika, który zmierzzał ku niemu brzegiem plaży. Naczelnik podskakiwał radośnie, machał ręką i prowadził ku niemu jakiegoś mężczyznę.

Gdy dotarł na miejsce, Reilly usłyszał zdanie, które zmroziło go do kości.

– Panie profesorze, wspaniałe wieści. To jest doktor Richards, który pracuje w zoo w Channai. Właśnie przyleciał i zgodził się nam pomóc.

To koniec. Jak nic zoolog przejrzy go na wylot. Po dwóch minutach zorientuje się, że Reilly jest oszustem i sprawa wyjdzie na jaw. Przecież za to można iść do więzienia. Reilly ucisnął rękę podejrzliwie spoglądającego doktora i chyba nawet nie starał się ukryć rozbieranego w panice wzroku. Naczelnik dokonał prezentacji i zainteresował się stanem jednej z łodzi wciśniętych w piasek plaży nieopodal.

– Co ty tu odpierdalasz, synku? – doktor Richards wypalił z obu rur. Był wysoki, szpakowaty, ubrany w lnianą koszulę. Podobnie jak Reilly, biały, równie niepasujący do andamańskich, jak i bombajskich realiów.

– To nie tak... Panie doktorze, to nieporozumienie. Wszystko mogę wyjaśnić.

– Skąd ty jesteś? Słyszę, że nie stąd.

– Z Zimbabwe.

– Ja też.

Doktor Richards dla odmiany był prawdziwym doktorem biologii i naprawdę pracował w zoo w Chennai, i naprawdę pochodził z Zimbabwe, gdzie mieszkał w stolicy. Co więcej, znał rezerwat Imire, który wizytował, gdy Reilly biegał w majtkach wśród wysokich traw sawanny, i nawet jak przez mgłę go pamiętał. W Imire prowadzono od trzydziestu lat program rozrodu nosorożców, w próbie ratowania ich populacji przed ludzką chciwością. Sproszkowany róg nosorożca to najdroższy czarnorynkowy towar wywożony z Afryki, ponad dwa razy cenniejszy niż złoto. Za kilogram płacą siedemdziesiąt tysięcy dolarów, bo Chińczycy wbrew nauce i zdrowemu rozsądkowi od dwóch mileniów wierzą, że róg nosorożca dobrze robi na potencję i nadczynność nerek, leczy podagrę, chroni przed rakiem i odgania złe duchy. W Imire było wtedy osiem nosorożców, wśród których Reilly się wychował, a doktor Richards badał ich stan z jakiegoś formalnego powodu.

Reilly opowiedział uczciwie całą historię, jak został profesorem i jak trudno mu było wyrzec się niebagatelnych korzyści płynących z tytułu tego tytułu. Zwłaszcza że był chłopakiem bez grosza przy duszy, dla którego cała ta podróż to wielka ekstrawagancja, ponad stan. Jego rodziny przecież na nią nie stać, a i tak się zgodziła. Mama prosiła tylko, żeby uważał na siebie, a tata zegnał go ze łzami w oczach.

Doktor Richards wysłuchał całej historii, stojąc z założonymi rękami oraz ponurą miną i patrzył srogo. Reilly skończył i wlepił wzrok w ziemię, czekając na wyrok.

– No dobra, to złapmy tego sukinsyna. – W doktorze Richardsie afrykańska dusza łowcy przygód i lokalny patriotyzm wyraźnie wzięły górę nad formalnym wykształceniem i poczuciem praworządności.

Doktor ocenił sposób z klatkami jako niegłupi, zasugerował jednak zmianę menu. Wołowina miała się sprawdzić lepiej. Zrobił przegląd klatek i pochwalił wykonanie. Podebatowali wspólnie jeszcze jakiś czas, po czym doktor dał się zaprosić naczelnikowi na uroczysty obiad.

REILLY Z CANDICE postanowili nie kusić dłużej losu i czym prędzej zwijać się z wyspy. Mieli do wyboru samolot za czterysta dolarów lub łódź, która płynęła cztery dni.

Gdy następnego dnia wysiedli z samolotu, Reilly dostał wiadomość, że krokodyla udało się złapać do klatki i zostanie przewieziony do jakiegoś ogrodu zoologicznego. Doktor Richards pozdrowiał i życzył szerokiej drogi.

CAŁE ŻYCIE CHCIAŁEM MÓC opowiadać takie historie o niesamowitych przygodach, pełne szaleństwa i nieodpowiedzialności. Pewnie trochę przesadzone, podkoloryzowane, nazwiska poprzekręcane albo w ogóle zmyślone, bo kto to pamięta. Byle było ciekawie i akcja płynęła wartko, a wszystko kończyło się dobrze.

Słyszysz się je w każdym z setek tysięcy backpackerskich hotelików rozsianych po Indiach czy Azji Południowo-Wschodniej. Zawsze opowiadają je nad piwem Chang czy Tiger spaleni słońcem ludzie z dredami i w wytartych, znoszonych ciuchach. Noszą paciorki i przepaski na długich włosach, jedzą naleśniki z bananami i wciąż się uśmiechają. Wyjeżdżają z domu na kilka miesięcy, na rok, jeszcze zanim dopadnie ich dorosłość, studia, służba wojskowa. Chcą poznać świat, posmakować go, przekonać się, kim są i czego chcą od życia. Zaszaleć, być kimś, przeżyć to, co opowiadają im znajomi i co widzieli na internetowych stronach dla podróżników. Są młodzi, szczęśliwi, radośni. Stanowią kwintesencję życia.

Każda kolejna podróż utwierdza mnie w przekonaniu, że istnieją dwa równoległe światy. Jeden – który wszyscy mamy w głowach, wdrukowywany nam przez lata. Drugi – ten rzeczywisty. Z ich zderzeń powstała niniejsza książka: zbiór ośmiu reportaży z różnych kontynentów. Wszystkie o ludziach i miejscach, które wydaje nam się, że znamy.

Wydaje nam się.



PAKISTAN

Mówi się, że muzułmanie to terroryści. Jednocześnie 80% ofiar wszystkich zamachów terrorystycznych to wyznawcy islamu.



POLSKA

Żołnierze polskich sił specjalnych to światowa elita, ale gdy kończą czterdzieści lat, nasze społeczeństwo wyrzuca ich na śmietnik.



USA

Czujemy się bezpiecznie, gdy więzienia są pełne przestępców, bo żyjemy w nieświadomości, że najgroźniejsze gangi są kontrolowane zza krat.

**MALEDIWIY / rezerwat. PAKISTAN / strach. USA / gangi.
SŁOWENIA / ryzyko. RPA / przestępczość. SUFIZM / świętość.
POLSKA / siły specjalne. ZIMBABWE / poszukiwania.**

ISBN 978-83-7515-364-4



Cena detal.
39,90 zł

E-book dostępny na

woblink.com